

TYGODNIK SŁOWA POLSKIEGO

BEZPŁATNY DODATEK NIEDZIELNY DO „SŁOWA POLSKIEGO” POŚWIĘCONY NAUCIE LITERATURZE I SZTUCE
POD REDAKCYĄ JANA KASPRÓWICZA.

JÓZEF RUFFER.

NASZ WIŚNIOWY SAD.

(OSTAPOWI ORTWINOWI).

IV.

Hohej! na nasz wiśniowy sad
Spadł bujnym śniegiem wonny kwiat —
Hohej! na naszym wiśniowym sadzie
Słońce swą hojną szczodrość kładzie!..

Hohej! rozkoszna gra muzyka!
Brzęczenie pszczół nasz sad przenika! —
Hohej! sad szczęściem opętany
Niechaj napęlnią płasy, tany!..

Muzyko graj! Pieśń Słońce! pieśń!
Muzyko! Sadzie! Słońce! — cześć! —
W wiśniowy wian ustrójmy głowy
I w płas! i w tan! przez sad wiśniowy!

Hej! nagie, gibkie nasze ciała
Taneczna radość opętała!..
Tańcem się naszym sad przelewał..
Wir porwał w tan wiśniowe drzewa!..

Hohej! szal, taniec, granie, woń!..
O, oko nasze szczęściem płoń!
Raduj się tańcem nasze ciało!
Wytańcz swą radość oszalała!

Bo oto na nasz wiśniowy sad
Spadł bujnym śniegiem wonny kwiat! —
Bo oto na naszym wiśniowym sadzie
Słońce swą hojną szczodrość kładzie!..

V.

Przyjacielu, patrz: mnogie jagody,
Jak rubiny, wrące, krwawą rzeką
Po zieleni wiśnich listków cieką —
Na nich Słońce kładzie blask swój młody..

Giętko gną się gałązki wiśniowe:
Bujnych jagód obciąża je brzemie —
Błogosławmy dobrą Matkę Ziemię
Za tę do nas jagodami mowę...

Przyjacielu słodki — o, zaiste,
Mowa ona w święty czar jednoczy
Nasze dusze, nasze młode oczy...

Hejże! dłonie, uściskiem przeczyste,
Niech objawią sobie tajemnice,
Które taji uśmiechnięte lice...

VI.

Dzień zwiastuję ci pełny wesela:
Otoć niosę pierwszą ściągą wiśnię.
Spojrz, jak Słońce wzniesioną obłyśnie,
Jak się wiśnia rubinem odstrzela.

Młodych warg twych pustotą zgnieciona
Tryśnie sokiem obfitym jagoda
I z ust słodkich ku oczom twym poda
Jasny uśmiech, co w mych licach skona..

Pójdź, wstąpimy na wiśniowe drzewa,
Byśmy rwali jagody! jagody!..
Słodkousty przyjacielu młody —

Słyszysz? — sad nasz pieśń dziewcząt obrzmiewa.
Hej! z za płota zazdrosne dziewczęta
Będą jeno świadki tego święta...

VII.

Wicher jesienny po sadzie błąka się i zawodzi,
Jak potępieniec nieszczęsny, w męczeński okrag wklęty..
Wodzi się i roznosi śmiertelne listków szczęty..
Gdzieżeśny są, przyjacielu, my, sadem wiśniowym młodzi?..

Biedne nasze drzewiny w jesiennym deszczu mokną —
Mokną ci nasze drzewiny wichrem nieszczęsnym trapione.
Już jasnowidzą drogę w nieszczęścia mroczną stronę,
Gromadzą się w orszak żałobny, pójda przed nasze okno...

Mileżące są, opuściły gałązki, odarte z liści —
Ociagań pełne, czekają na znak ów, co bezlitośnie
Rozpocznie pochód — — Czekają — och! ociąganie rośnie...

O! kiedyż końca męczarni! — ha! znak już tajemny
się isci,
Rusza już orszak żałobny, sad nasz wiśniowy już rusza,
A za nim płaczki dwie pójda: moja i twoja dusza...

VIII.

Przyjacielu, słodki przyjacielu —
Słuch otwórz, otwórz oczy:
Wieść czarna z ust mych kroczy...

Przyjacielu, słodki przyjacielu —
Smutek w mej duszy szemrze:
Nasz sad wiśniowy zamarze...

Przyjacielu, słodki przyjacielu —
Przed nami bohaterstwo dumne:
Kłaść sad wiśniowy w trumnę.

Ile razy ich srebrnorzęse, szeroko rozwarte źrenice, prawły mi tu o rzeczach dziwnych a pewnych jak śmierć, w które wierzę do dziś i do końca!

Zawsze, o tej samej porze lata, wiodła mnie ku tobie stroma, deszczami wymyta ścieżka, zawsze w osrebrzynie gwiazd twoich kwietnych, stawał mój duch młodzieńczy przed tobą — i myśli lotne w dalekość przyszłą posyłał...

O łąko gwiezdna, łąko przeczuć moich!

Dojrzały już oto kwaśne jagody jesienne i trawa słońcem spalona się kruszy.

Mrok pada, — dogasa lato i dzień...

Więc póki czas, nieścież mi wieści czekane a ja z wejrzeń waszych, o kwiaty blade, połączone, wyczytam opowieść snutą.

Wielkie wasze, błędne wiecznością źrenice oczyma oto przeniknę i ujrzę to wszystko, co się im w chłodnych, granatowych toniach letniego nieba jawiło nocami.

Nie trwóście się, tajemnie naszych nie wydam nikomu!

*

Dziewięciorniki kwitną...

Muszą snąć i gwiazdy okwitać o tej porze na niebie, albowiem jako liście kwietne, gdy je wieher z drzew na ziemię otrząsa — tak gwiazdy mżą w przestrzeni gasnące, okwitłe kwiaty boże...

*

W głąb królewskiej, sierpniowej nocy patrzą oczy dziewięciorników — i widzą.

Widzą — i ja widzę z niemi.

— Prawdy, jako promień słoneczny proste, —

— Głębie, jako dna krynic czystych widome,

— Moce dobre a jeno miłoznieniem okrutne,

Rzeczy radosne a bliskie, — w których zmiłowanie jest ojcowskie i mądrość —

— Rzeczy nieobjęte myślą a jednak jako oddech do wehłonięcia — łatwe.

Z pod zimnych ros patrzą oczy dziewięciorników w głąb granatowej, gwiazdzistej nocy sierpnia — i widzą...

Nigdzie dusza moja nie była tak blisko onych rzeczy bożych i spraw, onych prawd odwiecznych, tajni przezroczystych i den, — jak tu oto, na tej kwiatami łącznymi tkanej polanie, na tym śródleśnym wyżu wspomnień swoich...

Nigdzie nie, było mi tak jasnem, żeśmy z jednej gromady wszyscy, — te gwiazd oddalonych częste, świetne płomienie, te kwiaty ubogie — i dusza moja...

Z jednej gromady — wszyscy!...

I płynie na mnie z zeświatów uroczysta cisza nocy, świateczny mir a pokój —

I płynie z drugiego brzegu pozdrowienie anielskie wieczności — i znowu w piersi mojej solenne drżenie ruszonych strun ducha uczuwać.

Strój ich czysty, nieskażony od wieków...

I płynie ku mnie z zaświata ukojenie czekane, bezbrzeżne, serce moje martwością błogości śmiertelnej morzące...

I wnikać w ciebie, ojezysta przepaści niebieska i jak ten pątnik znużony, kiedy zdala światła sadyb siola swojego obaczy, — wyciągam ramiona ku gwiazdom i czuję — oto mój dom już blisko!

O łąko gwiezdna, łąko tęsknot moich!

Skole, Storozka 1902.

EDWIN ARNOLD.

ŚWIATŁO AZYI.

PRZEŁOŻYŁ Z ANGIELSKIEGO WOJCIECH SZUKIEWICZ.

(Z pieśni drugiej. Dokończenie).

II. Następnie Devadatta do zawodów na miecze wyzwał swych współzawodników, i rozszepcił na sześć palców gruby pień Talasu; Ardżuna na siedm; Nanda ciął przez dziewięć, lecz dwa pnie takie wyrastały razem, i oba Siddarthy miecz jednym wnet rozszepcił cięciem, tak ostro, że pnie oba dalej wznosiły się w górę, a Nanda zawołał: „Ostrze go zawiodło!“ a i dziewięć ponownie zadrżało, widząc drzewa proste, lecz na straży stojące powietrza Devasy, z południa lekkie zesłały powiewy, tak, że obie zieleni korony równo ścięte na piasek się wraz obaliły.

Przywiedziono rumaki, ogniste, rasowe, i te trzykroć majdan obleciały w koło, lecz biały Kantaka najbardziej nawet chyżego pozostawił w tyle tak prędko, że nim piana jego z pyska na ziemię upadła, dzid dwudziestu długość nogami wymierzył; lecz Nanda rzekł, „Mybysmy też z Kantaka odnieśli zwycięstwo; przywiedźcie konia, co nigdy nie chodził pod siodłem, a zobaczycie, kto najlepiej dosiąść go potrafi“.

Pachoły jak noc czarnego przywiedli ogiera, na trzech go moenych prowadząc łańcuchach; wzrokiem skry sypał, chrapy rozdymał, dziko wstrząsał grzywą, nie miał podków, ni siodła, bo nikt jeszcze jego nie dosiadł grzbietu. Trzykroć każdy z młodych Sakyów dosiadał rumaka, lecz ognisty zwierzę, dziko dęba stając, po kolei ich zrzucał ku hańbie na ziemię! Jeden Ardżuna przez chwilę na swoim utrzymał się siodle, a wolno popuściwszy cugle, czarne boki okładał nahajem, potrząsał wędzidłem, i mistrza ręką dumne opanował zwierzę, tak, że w szale wściekłości, obawy i gniewu, dziki ogier trzy razy majdan obiegł w koło już na pół pokonany; lecz nagłe ostrym zwróciwszy się zębem, i za stopę siedzącego schwyciwszy Ardżunę, na dół go ściągnął, i byłby go zabił, lecz stajenni wypadli. rozszalałe zwierzę krępiąc ponownie. Wtedy wszyscy krzyknęli: „Niech się Siddartha z tym nie wdaje Bhutem, bo żółć jego wzburzona, a krew ogniem płonie“. Na to odparł Książę: „Zwolnijcie łańcuchy, dajcie mi jeno jego grzywę z czoła“ i tę spokojną ujawszy dłoń, cichych słów kilka do niego przemówił, prawą dłoń, oczy ogiera zasłonił, i pogłaskał nią gniewne stworzenia oblicze, długą szyję i boki zmęczeniu dyszące, aż wreszcie zdumieni widzowie ujrzeli, że koń jak noc czarny dziko zwierzchną opuścił grzywę i stał uległy całkiem, jak gdyby poznał Pana i cześć mu oddawał. Nie drgnął nawet, gdy go dosiadał Siddartha, potem przed ludźmi zdumionych oczami szedł rozkazom kolana i cugli posłuszny, tak, że ludzie mówili: „Zaprzestańcie walki, snąć bowiem Siddartha ze wszystkich najlepszych“.

Wszyscy współzawodnicy przyznali: „On najlepszy“. A Suprabudda, ojciec wybranej dziewczyny, rzekł: „W zamiarach naszych było uznać cię najlepszym, boś nam najdroższym, lecz jakie czary nauczyły cię więcej męskości wśród altan różnanych i marzeń na jawie, niż innych wojna, łowy i trudy światowe? Lecz bierz, miły książę, ten skarb, któryś zdobył“.

Wtedy na dane hasło nadobna Hinduska powstała ze swego nad tłumem siedzenia i wzięła z kwiatów wieniec, a czoło z lekka zakrywwszy czarno-zółtą chustą, dumnie krocząc, zebraną omijała młodzież, aż doszła tam gdzie Siddartha w boskim stanął blasku, świeżo z czarnego zesiadłszy rumaka, który łagodnie silny kark pod ramię ugiął panu swemu. Dziewczę przed księciem niski ukłon dawszy, odsoniło twarz niebianki od czaru młodości płomienną, potem mu wieniec na szyi zawiesiła wonny, i na pierś mu swą piękną położyła głowę, zniżając się z dumnym spojrzeniem, aby jego stóp się dotknąć, i mówiąc, „Drogi Książę, spojrz na mnie, która jestem Twoją“.

I tłum cały żywił radość, widząc ich dłoń w dłoń idących i sobie wzajem sercem oddanych, gdy ona znowu twarz zakryła zasłoną z czerni i ze złota.

W długi czas potem, gdy oświecenia kres się już wypełnił, o wszystko Buddę ciekawie pytano, a zwłaszcza dlaczego tę czarno-złocistą włożyła zasłonę, i przecząc tak dumnym sunęła krokiem. A ten, któremu świat cały częściej oddawał winną, odpowiedział: „Dla mnie to była sprawa wręcz nie znana, jakkolwiek na poły znaną się być zdawała, bo gdy koło narodzin i śmierci obraca się ciągle, minione myśli i rzeczy i życia raz już pogrzebane wracają ponownie. Teraz pomnę, że mirjady deszczowych epok temu po Himalajów dziewiczych włóczyłem się kniejach, jako tygrys, ja i głodni towarzysze moi, przęgami ozdobni, wtedy ja, którym jest Budda, w trawie kusa na czatach leżałem, zielonemi, na wpół przymkniętymi oczami wpatrując się w stada pasące się coraz bliżej mej dziennej kryjówki, gdzie je niechybna wkrótce śmierć czekała; lub pod gwiazd namiotem głód kojącej szukałem zdobyczy, dziki, nienasycony, węszący ścieżki za śladem człowieka lub jelenia. W pośród bestyj, co mi wtedy towarzystwem były, w głębi gęstwiny, lub przy trzciną zarosłym bajorze, najpiękniejsza ze wszystkich spotkana samica nas, samców, w bój popchnęła: futro jej od złota połysk swój brało, jak zasłona Yasodhary obrzeżone czernią; co raz były gorętsze te leśne zapasy na zęby i szpony, a piękna samica pod margosy drzewem wzrokiem te krwawe i dzikie śledziła zaloty. Pamiętam, jak pod koniec warcząc pomijała pokonanych przezemnie władców dzikich pustyń, i z piaseczotą liżała me dyszące boki, i w gęstwę ze mną poszła dumnie i miłośnie.“

Koło narodzin i śmierci to w górę się podnosi, to opada na dół.

Te też Księciu dano dziewczę jako zdobycz chętną; i gdy szczęsne gwiazdy na niebie zabłyśły — Mesza, Czerwony Baran, będąc nieba panem — zwyczajem Sakyów małżeńskie odprawiono gody, na zastanym kobiercu złotą mieszcząc gadi, ślubne zwieszając girlandy, na ramionach zawiązując wstęgi, słodki rozłamawszy pierog, rzucając ryż i olejki rozpylając różane, umieszczając dwie słomki na czerwono zabarwionem mleku, które spływawszy się miłość wróżyła dożgonną; siedm kroków trzykrotnie w okół stawiając ogniska, świętym mężom liczne dając podarunki, jałmużny czyniąc i w świątyniach składając ofiary, formułki zaklęć odśpiewując, oblubienicy i oblubienica ubrania związując. Wtedy siwy ozwał się ojciec: „Czeigodny Książę! ta, która naszą była, odtąd twoja jest wyjącznie, bądź dobrym dla niej, bo tyś jest jej życiem“. Wtedy miłą Yasodharę do dom przywie-

dziono, z pieśniami i przy trąb odgłosie, w ramiona oddając ją Księciu, i wszędzie zapanowała miłość.

Lecz Król samej nie zauszał jedynie miłości; rozkazał On zbudować wspaniałe i piękne, bo ze serca płynące więzienie, tak przepyszne, że na całym ziemskim globie nie było cudu nad Viszramvan, rozkośzną Księcia rezydencję. W połowie tych rozległych pałacowych gruntów zielenią pokryty wznosił się pagórek, którego stopy zwilżał Rohini, spływający ze szmerem z himalajskich stoków, by haracz spłacić Gungasu nurtom wartkim. Od południa świat oddzielał gaj drzew tamaryndowych i salowych, gęsto porosły blado-błękitnem kwieciami ganthi, i chyba tylko szmer miejski mógł się dostać z wiatrem, szmer nie głośniejszy od brzęczenia pszczoł w gęstwinie. Na północ wznosiły się bezpłanne stoki olbrzymiego Himalajów grzbietu, co ku niebu białymi wystrzelił szeregi... stopą nie dotknięty, nieskończony, cudowny, którego rozległe hale, wzniosły światłszy szczytów i urwisk, przełęczy i stoków, zielonych upłazów i lodowych zboczy, rozdartych dolin, i rozwartych przepaści, prowadził myśl bującą coraz wyżej i wyżej, aż poki nie zdawała się wsparta o niebo z bogami obcoawa. Poniżej śniegów rozpostarły się ciemne bory, ozdobione koronką wodospadów, i ehmur zastonięte oponą; poniżej jeszcze rosły dęby i olbrzymie gaje sosnowe, gdzie się rozlegały nawoływania bażantów i panter okrzyki, tętent dzikich owiec po skalistych zboczach, i piski kołujących orłów; pod tym światem połyskiwały doliny, jak modlitewny dywan u stóp tych przeboskich ołtarzy.

Czołem do tych cudów budownicowie wzniesli przepyszny pawilon, dobrze umieszczony na terasami pokrytem wzniesieniu, po bokach opatrzone wieżami i szeregiem kolumn. Na pawacu belkach rzeźbione były dawnych czasów dzieje, Radha i Kriszna, i leśne dziewczęta, Sita i Hanuman i Draupadi; na środkowej bramie widniał bóg Ganesza, mądrość niosąc i bogaństwo, łaskawości pełen siedział z krąkiem i hakiem w swej całej długości wieńcami pokryty.

Po krętych ścieżkach ogrodu i dworca do wewnętrznych podwoi wnet się dochodziło, podwoi z marmuru białego wykutych o różowych żyłkach; nadproże zrobiono z lazuli, próg zaś z alabastru, skrzydła z drzewa sandałowego, ozdobnie rzeźbionego; przez te to podwoje przesuwali się zachwycone stopy do sal wyniosłych i cienistych altan, po wspaniałych wschodach, przez ażurowe galerie, pod malowanymi dachami, wśród kolumnien lasu, gdzie kwiatami lotusu i nelumbo gęsto obrzeżone chłodne biły wodotryski, a w kryształowem ich przezroczu połyskiwały ryby szkarłatne, złote lub niebieskie. W słonecznych alkowach pasły się wielkookie gazelle na świeżo rozkwitłych krzaczach róży; wśród palm trzepotały się ptaki o tężowych skrzydłach, na złoconych gzymsach zielone i szare gołębie bezpiecznie zakładały gniazda; na połyskujących posadzkach pawie roztaçały swych ogonów świetność, strzeżone poważnie przez śnieżnobiałe czaple, jakoteż drobne sowy domowe, pstre papugi z owocu przerzucały się na owoc; żółte kolibry z kwieciami fruwały na kwiecie. Trwożna jaszczurka do słonka się grzała bez żadnej obawy; wiewiórki garnęły się do dłoni po pokarm, bo wszędzie pannał pokój; płochliwy wąż czarny, co szczęście domostw przynosi, wygrzewał na słońcu swe sennie sploty pod Księżycą kwieciami, gdzie igrał piżmowiec, a małpy brunatno-okie przedrzeźniały wrony.

Cały ten przybytek miłości napełniony był wszędzie uprzejmą służbą, tak, że w każdej jego części, wśród rzeczy godnych widzenia, znajdowały się też miłe twarze, rozbrzmiewała łagodna mowa, spotykała ochętna usługa, każdy tam pragnął rozweselić drugiego, ciesząc się z jego przyjemności, dumny, że ma kogo słuchać; w tych warunkach życie płynęło jak spokojny strumień, wiecznie świeżem obrzeżony kwieciami... Yasodhara zaś była królową tego zaczarowanego pałacu.

Lecz w głębi, po za bogactwem setek komnat, znajdowała się tajemna izba, gdzie wiedza i fantazyja wysiliły się na to, by ukołysać umysł. Wejście do niej stanowił zamknięty czworobok, któremu firmament służył za przykrycie; w pośrodku czworoboku znajdowała się sadzawka, z mlecznego wzniesiona marmuru, wyłożona płytami z takiegoż samego marmuru, sadzawka dookoła, i stopnie, i fryz w swej całej długości ozdobione były delikatną mozaiką z agatu; przebywając tam, miało się wrażenie, jak gdyby się wśród lata po zimnych stąpiło śniegach; słońca promienie traciły swe składniki złota, i wślizgując się do portyków, zamieniały się na cienie srebrzyste, blade i zatarte, jak gdyby Dzień zatrzymał się w biegu i na wieczór zmienił w miłości i mieleniu u wrót tej altany; za wrotami bowiem znajdował się pokój piękny i miły, istne cudo świata! Przez okno słabe światło wonnych lamp wpadało, lam z masy perłowej i gwiazd wytłaczanych na błyszczących błonach, co oświecały materye, przetykane złotem, jedwabiste łoża i ciężkie fałdy wspaniałej kotary, podnoszone, by tylko najdroższych sereu do komnaty wpuszczać. Tutaj nikt nie wiedział noc-li to czy dzień, gdyż wiecznie płynęło tu słumione światło, nieco mocniejsze niżli słońca wschody, lecz tak delikatne jak wieczorów zorze, i wiecznie panowały rozkoszne podmuchy, rozkoszniejsze od rannych powiewów, lecz tak chłodne, jak północy oddechy; dzień i noc rozbrzmiewały lutnie, dzień i noc smaczne podawano jadło, i rosą pokryte wnoszono owoce, sorbety himalajskimi chłodzone śniegami, i słodczyce pod względem ich smaku subtelne, wraz ze słodkiem mlekiem w jego własnych podawaniem czarach.

Dzień i noc na usługach były tam tanecznie wybrane zastępy, podczaszych i cymbalistów, delikatnych czarno-brewych miłości kapłanek, wachlarzami chłodzących senne Księcia powieki. Gdy się zbudził, to znowu myśli jego na błogie wprowadzały tory muzyką, której szmer przez wonne przedzierał się kwiecie, czarem pieśni miłosnych, i rozkosznych tańców, połączonych w całość odgłosem dzwonnów, ruchami ramion i srebrzystym winy dźwiękiem. Równocześnie rozechodziła się woń piżma i czampaku, unosiły się niebieskie pływające kadzideł dymy, duszę jego u boku miłej Yasodhary znów do snu kołysząc, i tak Sidhartha żył pełen zapomnienia.

Lecz nie koniec na tem, gdyż król rozkazał, by w tych ścian obrębie o śmierci lub wieku nie czyniono wzmianki, ni o smutku, bólu, ni chorobie. Gdy która zemdlala w miłości pałacu, gdy czarny wzrok się przyćmił, lub stopy słabe zachwiała się w tańcu, niewinna zbrodniarka, na wygnanie skazana, te rajskie na zawsze opuszczała progi, by tylko on jej zmartwienia nie widział i wraz z nią nie cierpiał. Czujni dozorecy wymierzali kary tym, co śmieli wspomnieć o reszty świata cierpieniach dokucznych, gdzie bole i zarazy panują opornie, gdzie łyż się leją i obawy

szerzą, gdzie się żalosne rozlegają jęki, i pogrzebowe oiaśle płoną stopy. Za zdradę uważano, gdy się srebrna nitka w kosę tanecznej zabłąkała dziewczki; każdego ranka, o jasnym dnia brzasku, wędnącą różę starannie zrywano, opadłe liście ukrywano pilnie i wszelkie nie miłe niszczone widoki, ponieważ Król orzekł: „Gdy młodość swą spędzi zdala od rzeczy, co zdolność spostrzegania płodzą, i myśl do rozważań podniecają ciągłych, wtedy cień losu zanedo dla ludzkiej istoty ciężkiego rozwieje się może, a ja ujrzę mego syna wszystkich krajów władcą, gdy panować zechce, jako Król królów i swych czasów chwala“.

Z tych wszystkich powodów, wokół miłego wewnętrznego muru, gdzie miłość była skazańcem, a do zorek rozkosz, Król nieznaczny dla oka mur zbudować kazał, w nim potężne brązowe wrzeciędzie, które rozтворzyć sto ledwie ramion zdołało. Skrzypnięcie bramy, gdy ją otwierano, na pół yodzany wokół było słychać. Wewnątrz tej bramy drugą umieszczono, a w tej wnętrzu trzecią, tak, że przez trzy przejść musiał, kto pałacu chciał opuścić mury. Trzy wznosiły się bramy zamknięte na spusty, a każdej wierne oiaśle strzegły straże, a rozkaz króla opiewał: „Niechaj nikt tych nie śmie przekroczyć podwoi, choćby to był Książę! Nieposłuszeństwo przypłacicie życiem, nawet gdy mego wypuścicie syna!“,

GABRIEL D'ANNUNZIO.

FRANCESCA DA RIMINI.*)

(t. s.) W przekonaniu mojem włoski poeta urzeczywistnia, jak żaden inny ze współczesnych mu braci, swe marzenia artysty. Dzieła jego stają się zdarzeniem europejskim, do wcielenia postaci dramatów ma na usługi największą europejską artystkę tragiczną Duse, posłuszną mu jak korna niewolnica. A wystawia je tak, jak chyba żadnemu z dzisiejszych autorów scenicznych losy nie dały. Krażą legendy, iż pierwsze wystawienie „Franceski da Rimini“ pochłonęło bajeczne, królewskie sumy; dość powiedzieć, że scena przemieniła się w muzealny zbiór nieocenionych przedmiotów autentycznej, archeologicznej wartości.

Mam przed sobą utwór ten w książkowym wydaniu, które nawet w dobie dzisiejszej, gdy przemysł sztuki stosowanej wysila się, by książkę dać zewnętrzną oryginalną cechę piękną, bije odrazu w oczy swym wyglądem. Gruby tom, w szare płótno oprawny, przepasany dwoma parami taśm, druk na papierze czerpanym, przypominający kształtem typy średniowieczne, w podobnymże zarchaizowanym stylu ornamenta, listwy, inicjały, wycięnięte w dwóch kolorach: czerwonym i czarnym. Słowem całość sprawia wrażenie księgi, zabłąkanej cudem pośród nas z zamierzłej przeszłości, może bliższej tej, na którą schylały się niegdyś głowy obojga nieszczęsnych kochanków. Podobny przepych wykintu, złączony z jakimś religijnym pietyzmem dla własnego dzieła, zdradza albo rzetelnego, szczerzego miłośnika piękna, albo snoba, poszukującego efektu estetycznej oryginalności. — Bo też i jest dziełem człowieka, w którego dziwnej

*) Dramatyczny poemat ten ukaże się niebawem w przekładzie polskim (Jana Kasprowicza) nakładem Tow. wydawn. we Lwowie.

naturze zrosł się jeden i drugi w jakimś anormalnym splocie. Tom ten, tak wydany, ma pozostać wedle słów poety, świadectwem szczerego i szlachetnego wysiłku autora i rysownika „w ich dążeniu ku owym rozlicznym formom idealnym, które niegdyś stworzyły z życia Włoch ozdobę świata“.

Kilkadziesiąt tercym z V pieśni „Piekła“, zawierających prostą historię Franceski z Rimini były nieprzebranem źródłem, z którego późniejsza sztuka aż po dni dzisiejsze obficie czerpała. Rzecz to może jedyna i wyjątkowa, by jakiś fragment utworu poetyckiego stał się motywem, tematem dla niezliczonych dzieł sztuki. Owa skromna opowieść nęciła ustawicznie wyobraźnię artystów; rzekłbyś, że kryją się tu jakieś skarby zaczarowane, po które szły rzesze twórców rozmaitych czasów i narodów i czerpały... ze zmiennem powodzeniem. Pomijając malarstwo, które tak często starało się uplastycznić tragiczne chwile obu postaci, — sama literatura prowadziła tylokrotnie dalej dzieło uwiecznienia ich w utworach powstałych na gruncie silniejszego lub słabszego natchnienia.

Współcześnie z d'Annunziem wystawiają w Londynie efektowną sztukę Philipsa pod tymże samym tytułem, przed nim zaś wypadłoby wymienić długi szereg nazwisk poczynawszy od Silvia Pellica i Heysego, a skończywszy chociażby u nas na wyszlifowanych tereynach Miriama („Z czary młodości“). Wszysey ci poeci — a przynajmniej większa ich część, tworzyli z przekazanej przez wieszcza włoskiego historii grzesznej miłości dramat — koniecznie dramat — a tworzyli wedle miary swego talentu i sposobów sztuki swego czasu.

Już wskutek swego pochodzenia literackiego temat ten zawierał w sobie niebezpieczeństwo, gdy d'Annunzio wysnuwał z niego swój *poema di sangue e lussuria*.

Rozpoczął go mieniącem się ruchliwem tłem życia dworu Polentów w Rawennie, gdzie piękny Paolo Malatesta, Paolo il Bello przybył w dziewczęby po rękę Franceski od brata swego Gianciotta, który w zamian ofiaruje paręset zbrojnych domowi Polenta. Ale Francesca nie wie nic o tym układzie; jej przeczucia wybrały już Paola. Akt ten zamyka scena pierwszego spotkania kochanków, zaaranżowana z misterną podniosłością, pełną tajemnego wewnętrznego znaczenia. Milecząc przechodzą, wpijając się w siebie oczami, w okół nich brzmi chór dziewic, Francesca podaje mu kwiat róży, zerwany z krzewu, podlanego krwią ludzką dopiero co przelaną...

W następnym akcie Francesca jest już żoną Gianciotta. Czarna, głucha noc objęła ją od chwili, gdy w świetle pierwszego poranku ujrzała przy sobie nienawistną twarz tego, do którego na zawsze przykutą została i gdy pojęła omyłkę, jakiej padła ofiarą. Twarda, kamienna powłoka przyobleka jej duszę w spotkaniu z Paolem na wieży wśród zgiełku walki. Zdradzie jego wyrzucił swój los nieszczęsny.

Perdonato da Dio

perdonato quel sangue vi sarà
et tutto il resto,

me non il pianto, ch'io non piansi, non
l'occhio rimasto arido nella prima
luce.

A gdy Paolo strząsa z siebie zarzut zdrady i ból wyrzyna mu z piersi pytanie: jak ma umrzeć, odrzeknie mu twardo:

come lo schiavo al remo
nella galéa che ha nome Disperato,
così dovete voi morire.

„Jak niewolnik u wiosła galery, której imię: Rozpacz — tak winniście umrzeć“...

Niebezpieczeństwo bitwy rzuca ich w instynktownym porwie ku sobie, miłość nie wyznana słowami staje się im obojgu naraz jawną. Odtąd — *incipit crimen amoris*.

Paolo ucieka do Florencyi, by po krótkim czasie powrócić. *Le due cognati* są znowu razem. I tu następuje moment cudowny: przesuwa się na nad ich głowami ręką poety rzucony cień wielkiego Florentczyka, który zbliża ich serca wstrząsane wzruszeniem. Oto, opowiada Paolo, we Florencyi „w domu Caselli bywało wielu szlachetnych panów. Między nimi bywał Guido Cavalcanti, a także młodzian z domu Alighierich, imieniem Dante. I tenże młodzian stał mu się drogim: tak pełną była jego myśl kochania i cierpienia, tak żarliwie w śpiew się wsluchiwał“.

E alcuna volta ebbe da lui unbene
inatteso il mio cuore
che sempre chiuso era; perchè la troppa
soavità del canto
alcuna volta lo sforzava a piangere
silenzio samente

e, vendendolo, anch'io con lui piangera.

A Francesca, słysząc to, błogosławi temu, który mu taki płacz z duszy wyrwał i przyrzeka modlić się za jego spokój.

Potem czytanie historii Lancelota i Ginewry i owa sławna chwila, w której oboje „już nie czytali więcej“ — w dramacie przeprowadzona z niesłychanie subtelnym wycienianiem. Następne dzieje ich toczą się wartko ku końcowi. Gianciotto ostrzeżony przez młodego Malatestina niespodzianie zachodzi przez wiałołonną żonę z bratem i śmierć im zadaje. Tragiczny los obojga kochanków spełniony — historia znana, tylekrotnie powtarzana.

Czem jest to dzieło w szeregu tylu poprzedników? Nie chcę mu w tem miejscu wyznaczać stopnia ani porządku hierarchicznego pierwszeństwa. D'Annunzio zresztą jest zbyt wielkomożnym panem swych środków artystycznych, by mógł stworzyć rzecz marną, chociażby średnią. — Gdyby nawet materiał oparł się ręce, a modelacya żyjących kształtów zawiodła, pozostałby zawsze język, jego słowo, owo cudowne słowo, które nie raz dawniej padało jak cenny klejnot wśród publiczności, skupionej w audytorium, znudzonej i zmęczonej żmudną drogą, po której wiódł ją poeta w górne szlaki idealnej sztuki, i zawieszało nad nią momentalny czar wielkiego piękna.

Tembardziej zaś, gdy ta zewnętrzna strona materialna nie zawiodła wcale.

Dzieło ma moc i wigor, pulsuje krwią, rozpiera go ta potężna rozlewność życia, jaka niegdyś w owych wiekach wybuchała zuchwałymi czynami mordu, jak i — co prawda cokolwiek później — skończonemi dziełami sztuki. Szczęk mieczów, zgiełk walki, nawoływanie hasła Welfów i Gibelinów, miesza się z szepem miłosnym, dusz łamiących się w rozpacz i melodyjną pieśnią dźwięczących tęsknem wołaniem; oko przesunie się po mieniących się szatach i tkaninach, zawiadzi o krwawiącą głowę odciętą i spocznie na szerokich pośłaniach zbrojnych rycerzy. To, co błędzi w pojęciach naszych około myśli, obejmującej ów czas

i ową epokę, to zwarło się tu jakby w dotykałnem skondensowaniu, dokonaniem pewną i silną ręką świadomego swej wysokiej kultury artysty. Zużyć on musiał ku temu siłą przygotowań i studyów, posłużyć się mnóstwem archeologicznych źródeł, o tem jednak zamilcza sam dyskretnie w swej „nocie“, uznając, iż praca jego *non può valere se non per la somma di vita attiva ch'ella contiene*. I ta *vita attiva* porywa czytelnika mimo z góry już zakreślonej predestynacji losów obojga bohaterów.

Szpetny, cheiwy walki, Gianciotto, — mąż z krwi i żelaza, młode pachole, okrutny i podstępny Malatestino, Ostasio, wreszcie sama Francesca — wszyscy oni stępują jakby z chrzestem żelaza, a dusze ich wrą nieokiełznaną bujnością namiętności. Scena, w której Gianciotto dowiaduje się o zdradzie małżonki, pozostaje niezrównanym przykładem tej bezpośredniej siły porywów.

Pociągają te postacie poetę ku sobie tak, jak pociągała go cała epoka. Ale mniemam, że w tej sile pociągającej było coś więcej, prócz pokusy wywołania echa silnego, żywiołowego życia dawnego. Życie to uderzało go zewsząd naokół — z tych wszystkich głów ludzi starego rinascimento i dawniejszych jeszcze w tyłu freskach i obrazach starych mistrzów rodzimej sztuki. Przypuszczam, że ręka artysty przy ich kreśleniu musiała drgać miłośniczo w takt wezwania w tę własną tradycję przeszłości, pełną krwi, zbrodni, piękna, rozpasaniem, zuchwałością i nieujarzmioną siłą.

Ale dramat, tragedia? Gdzie ciemna moc przeznaczeń, gdzie gra sił życiowych? Chyba nie w owym wspomnianym wyżej szczególe, owej róży nasycionej przypadkiem krwią ludzką, a mającej symbolicznie zaznaczać, iż losy tych dwojga będą krwią zroszone — szczególe efektownym, banalnym, zbyt czystym. A jednak były intencje autora podniesienia opowieści dantejskiej do owych wyżyn, po których przewalają się tragiczne siły życia.

Intencje te przełamały się o realizm tła i epoki. I po „Città morta“, po „Snach różnych pór roku“, po „Giocundzie“ — „Francesca da Rimini“ staje się punktem znamionym.

Równocześnie prawie Maeterlinck daje swoją „Monnę Vanę“. Tylko ten — północny Belg — nie wywodzi siebie z bujnej przeszłości dumnych Condottierów, Borgiów, Malatestów, Medyceuszów... I w tem cała różnica...

KSIĄŻKI.

(ts.) Zapomniany pisarz. Trudno rzec dziś o Świętochowskim inne, aniżeli to — nieskończenie smutne słowo. Człowiek, którego postać widniała przed kilku dziesiątkami lat wszystkim szeroko i daleko, jako stojąca ze sztandarem w ręku na wyłomie — w którego imieniu usymbolizował się pewien okres umysłowy — po zamknięciu tego okresu przeszedł do historii.

Co prawda, siła, jaka rwała wtedy wszystkich „młodych“ ku niemu, jak ku gwiazdzie, mocą której sprawował „rząd dusz“, spływała nie tyle od dramaturga i nowelisty, co od publicysty i chorążego nowego prądu.

Badź co badź tworzy on indywidualność wybijającą się na kartach naszej umysłowości swoją odrębnością i wyrazem na plan pierwszy.

P. Galle zajął się obecnie w osobnej pracy *) przedstawieniem beletrystycznej twórczości Świętochowskiego.

Pomijając pewne naiwności w ocenie i sądach krytycznych, wydobywa on i formułuje naczelną ideę twórczości jego w sposób bystry i trafny. Sam rysunek indywidualności psychicznej przedstawia mi się nieco inaczej, niż p. Gallemu. Nie jest to jedno i to samo, jakby na pozór się zdawało. Organizację danej umysłowości charakteryzują nie tyle wypowiedane hasła i idee, jak rodzaj jej w stosunku do nich.

P. G. ujmując w jedno słowo twórczość Świętochowskiego, nazywa go „poetą człowieczeństwa“. Nie wiem, czy znalazłoby się lepsze i trafniejsze określenie. Wiąza się z nim błędy, zalety, wszystkie właściwości samej organizacji umysłowej. Cokolwiek jednak myśli się autor, przydając mu drugi rys głębokiego podkładu uczuciowego w miłości człowieka. Świętochowski kocha nie człowieka, ale swoje pojęcie o człowieku, a w tem głęboka różnica. Humanizm jego wypływa z intelektualnych, nie uczuciowych źródeł. Dusza jego z natury była zawsze uczuciowo sucha, a wystudzona nadto naturalną kulturą umysłową swej epoki. Podobnie jak nie ma u niego ludzi żywych z krwi i kości z żywym bolem, miłością, kochaniem, tak samo nadaremno by szukał bezpośredniego wykrzyku, szczerzego namiętnego wybuchu zadrzaśniętych instynktów czy uczuć. Przypominam sobie jeden z najpiękniejszych, najbardziej może odczutyh fejletonów — pisany po śmierci Kraszewskiego — piękny, bajecznie piękny, a zimny. Życie przedstawiało się jeszcze w formach czysto pojęciowych, kształtujących się odpowiednio do dwoistości jego organizacji.

Bo było w nim dwóch ludzi.

Jeden z nich — to poeta, nowelista, którego wzrok leciał a rączaj usiłował wlecieć bardzo wysoko, w dalekie sfery, po za aktualność prądów doby współczesnej. Przed oczami jego stawał człowiek już nie jako twór żywy, lecz w czystej swej treści wiekuistej sprowadzony niemal do abstrakcyjnego logicznego pojęcia. Ale to pojęcie miało u niego jakieś górne znaczenie i pełne było dostojeństwa.

Z tego punktu abstrakcyjnego widzenia ujmował on jego tragedję, patrzył na jego wzloty i upadki, walki i nędzę, natrząsając się z jego losów z jakimś uragliwym szyderstwem. Drugim był publicysta — ów, który pisał płomienny manifest: „My i wy“, szedł na czele młodego pozytywizmu, smagał „starych“, obracając się w ogniu walki słownej jak w swym żywiole. Oba łączył wspólny temperament intelektualnego satyryka o ostrym, żółciowym sarkazmie.

Obie te osobistości płatały sobie nieraz figle. Pierwszy, mieszając się w zakres drugiego, dosnuwał w kronice lub artykule dziennikarskim do jakiegoś codziennego wypadku dnia, jaśnie niestosunkowo szerokie uogólnienia, idee etc. Co prawda, nie ma zjawiska w życiu, któreby nie mogło być przedmiotem widzenia „pod kątem wieczności“. Byleby tylko linie, wyprowadzone w nieskończoność, miały należytą proporcję.

*) Al. Świętochowski jako beletrysta, skreślił H. Galla. Nakładem Autora w Warszawie.

A drugi znowu poddał pierwszemu zaczerpniętą z aktualnego darwinizmu przyrodniczą formułę walki o byt, podsuwał w utwory artystyczne hasła bojowe chwili, zaprawiając je pewną polemiczną pikanterią i wybitnym charakterem tendencyjnych tez. Tak w „Ojcu Makarym“ weszła sprawa celibatu, w „Nie-winnych“ kwestya wolnej woli, gdzie indziej wplotły się ustępy całe, tyrady o postępie, konserwatyzmie, wiedzy, prawdzie etc. jakby żywcem wyjęte z łamów „Przeglądu tygodniowego“.

I to było wespół z wspomnianym zanikiem w sferze życia uczuciowego tragedją jego twórczości.

Osoby w jego dramatach nie są ludźmi żywymi, nie są nawet syntetycznym uogólnieniem jakichś potęg życia lecz pojęciowymi szematami. Wszyscy mówią jednym i tym samym językiem: językiem autora. To, co mówią, jest szlachetne, bardzo wysokie, nad miarę subtelne, lecz znowu jest to własnością nie ich, lecz autora.

Jego „Nieśmiertelne dusze“ dla nas dziś już dawno przestały być nieśmiertelnymi. Taka „Aspazyja“, którą zachwycą się p. Galle, jest pełnem frazeologicznego talentu udyalogowaniem bojowych hasel i idei pozytywizmu — ponadto nieczem więcej. Jedyny wyjątek, dziwnie osobliwy, to nowela „O życie“ — gdzie już wszedł człowiek wprost odezuty i istotnie żywy.

Jeżeli odejmie się komu zdolność widzenia i uczucia w jego żywych, nie zaś rozumowo, dedukcyjnie wyprowadzonych formach, to cóż nam pozostanie? Frazes!

Otóż właśnie!

Frazes giętki, śmigły, mieniający się nieźrównanymi blaskami, lecz na wskrós zimny, — frazes, który wyrabia styl właściwy, oryginalny, przetykany niezwykłymi pięknościami, w omijaniu trywialności i dobozem wyszukanych metafor zbliżony do rodzaju wyrażania się dawnych *précieux* XVII. w. — a właściwy tryumf roztacza w dramatach, gdzie stwarza, dyalog niebываłej świetności, wyginający się w nagłych, przerażająco niespodzianych zwrotach, skrzęcych się jadowitą śmiertelną ironią.

Zawarła się tu moc i jedna z największych części talentu Świętochowskiego. Frazes stał przed nim, jako przegroda przed każdym bezpośrednim wybuchem uczuciowym, zasłaniał mu zarówno człowieka jak naturę, którą musiał czuć jak prawdziwy poeta. Wystarczy przeczytać jego przepiękne „Bajki greckie“, lub ustępy z „Duchów“.

Ktoś, bodaj czy nie Chmielowski, przystosował do niego powiedzenie Taine'a o Swifie: *il a le génie de l'opprobre*. Określenie trafne, mimo, iż protestuje przeciw niemu p. Galle. Jest w nim przyrodzona jadowitość sarkazmu, jakaś uragilność i chłód na wskrós intelektualnej ironii, która potęgując giętkość frazesu, zaostrażając jego błyskotliwość, nadaje mu właściwy wewnętrzny oddźwięk, w pewien sposób przyciągający czytelnika.

Głosił i wyznawał naczelne zwierchnictwo ducha. *Mens agit molem*. W ten postulat wierzyć zresztą muszą wszyscy ci, którym są drogie sprawy duszy, inaczej istnienie do reszty gorzkim by się stało. Jednak podstawy jego myśli wyrosły i ugruntuwały się na hasłach mu współczesnych — naprawdę dla jego umysłu za ciasnych. W „Dumaniach pesymisty“ przemawia w rzeczywistości nie sceptyk,

lecz tylko młody, miejscami dość naiwny, dogmatyk-pozytywista.

Mówię tu o Świętochowskim ciągle w czasie przeszłym. Nie chcę tem zamykać na zawsze jego twórczości. Świętochowski żyje, przeszedł w ostatnich latach pewną ewolucję, która nie zmieniła może bardzo jego organizacji duchowej, lecz przetworzyła treść umysłową — i stworzyć może jeszcze nie jedno. Mówię w czasie przeszłym o nim takim, jakim jest w zbiorowym wydaniu 25 ciolecia pracy pisarskiej, począwszy od owych nowel, małych arcydzieł, godnych stanąć obok utworów nowelistycznych Prusa i Sienkiewicza, a skończywszy na ostatnim wielkiem, niepoślednim dziele: „Duchach“. Taki, jaki jest, pozostaje odrębnym, wybitnym i umysłem, który niósł wysoko ideał człowieczeństwa, pisarzem, który stworzył parę pięknych dzieł i jednym z najlepszych stylistów polskich, który pierwszy poprawność mowy podniósł do kunsztu artystycznego.

Maksym Gorkij, Byli ludzie, — Bajka, Historia o srebrnych klamrach etc., — W stepie, Pieśń o sokole, Czółkasz (3 tomiki). Przekład B...é. Kraków, D. E. Friedlein, Warszawa E. Wende i Ska. 1902.

Po za wymienieniem tytułów, mało co jest o tych książkach do powiedzenia. Imię, znaczenie i sposób pisania Gorkiego, tego po Tołstoju dzisiaj najpopularniejszego w Europie rosyjskiego pisarza, zbyt dobrze są znane, aby się tu jeszcze raz nad tem wszystkim rozwodzić. Zresztą — gdyby kto chciał, abym mu tak krótko scharakteryzował Gorkiego, człowieka i pisarza, przeczytałbym mu wtedy ową małą, znaną powiastkę: „Przed obliczem życia“, które odtrąca człowieka proszącego, a żądającemu od niego sprawiedliwości odpowiada jednym słowem: Weź. A potem, gdyby to jeszcze nie wystarczyło, pokazałbym mu step, taki bezbrzeżny, pusty, dziki step i ludzi, którzy, mimo wszystko, nie mają dość silnych ramion albo sere dość twardych, aby brać.

Przekład tych trzech tomików bardzo piękny i pod względem języka poprawny. Nie umiem po rosyjsku, więc nie mógłbym ocenić, o ile wiernie oddaje oryginał; czytając go jednakowoż, mam to wrażenie, że wbrew włoskiemu przysłowiu, nie był w tym wypadku tłumacz — zdradzą autora.

Bardzo pożyteczna, a nawet, powiem, do właściwego zrozumienia pism wielce pomocna, jest krótka wzmianka biograficzna o autorze, umieszczona przez tłumacza na wstępie tomiku, w którym się znajduje opowieść o Czółkaszu. Również trafna jest i jasna charakterystyka pisarza, kończąca ową wzmiankę.

J. Ż.

PISMA.

(mb) Zeszyt 248 b. Encyklopedyi wielkiej ilustrowanej zawiera artykuły od „Jan I papież“ do „Jan Olbracht“. — Zeszyt 250 Encyklopedyi powszechnej Orgelbranda zawiera artykuły od „Schwöder“ do „Sejmy i sejmiki w Polsce“.